

ALEKSANDER JACKOWSKI

## Instytut Sztuki widziany oczami emeryta

**B**ardzo przepraszam, że będę mówił siedząc, ale w tej chwili jest mi trudno stać. Natomiast to, co chcę powiedzieć w tej chwili, to przede wszystkim ogromna wdzięczność dla Instytutu, w którym spędziłem dwie trzecie życia, bo 60 lat. To jest właśnie okres, który jest naznaczony Instytutem, a 90 to to, co przeżyłem. Właściwie przeżyłem dwa życia, to pierwsze było interesujące, nawet nie mogę powiedzieć, że żał mi tego, ponieważ żał mi straconych lat, ponieważ lata młodości są nie do naprawienia. Właściwie kontakt z nauką zacząłem dopiero mając lat 30. To bardzo późno. Moim mistrzem był wtedy profesor Ossowski. W dalszym ciągu jest parę osób, którym zawdzięczam moją postawę życiową, którym zawdzięczam to, kim jestem. Jest to przede wszystkim Józef Czapski, który uformował mnie, tak mogę powiedzieć, poniekąd jest to Jerzy Turowicz, a poza tym ci ludzie, którzy są mi tak strasznie bliscy, z Instytutu: prof. Starzyński, w stosunku do profesora mam jakąś szczególną pamięć o nim, razem tworzyliśmy ten Instytut, ja mu pomagałem, szczególnie że jako osoba partyjna miałem wtedy pewne możliwości, których nie miał on, i wtedy można było coś zrobić. Mam wrażenie, że jako członek partii w Instytucie zrobiłem dużo dobrego i nikt chyba nie może powiedzieć, że został przeze mnie skrzywdzony. Przeciwnie – staraliśmy się, żeby stworzyć instytucję, która będzie przyjazna i bliska ludziom. I to, co mnie wzrusza, to to, że tak się stało, ponieważ ten dzisiejszy ewenement to jest dla mnie zupełnie wyjątkowy przykład lojalności moich kolegów, Zbyszka Benedyktowicza, Dyrekcji Instytutu, to jest w dzisiejszych czasach rzadkie. Tak że mogę mówić o ludziach tylko w sposób serdeczny – o tych kolegach, przyjaciółach, którzy się dzisiaj tutaj znajdują. Oni są dla mnie najważniejsi. Oni stworzyli właściwie moje życie i oni je ukształtowali. Tyle lat, ile ja funkcjonuję w tym Instytucie, to właściwie – jak patrzę z perspektywy czasu – to te lata stają się jakiegoś nikle. Pamiętam osoby z pierwszego okresu, jak Bielawskiego czy kogoś, to są właściwie osoby jak z rodziny, to są moi bracia, siostry, to jest moje środowisko w tej chwili i za to, że ono istnieje, jestem wam ogromnie wdzięczny. Bardzo Wam dziękuję.

**W**racam pamięcią do pierwszych lat po wojnie. Nie jest to łatwe: to co dziś oczywiste, wtedy takie nie było. Choćby pojęcie wroga, ściślej – wroga numer jeden. Ja i moi koledzy nie mieliśmy wątpliwości – to Niemcy. A Sowieci? Straszni, groźni dla większości ludzi byli dla nas na drugim planie. Walczyli, ponosząc ogromne straty z Niemcami.

Byłem w 1. Armii Wojska Polskiego, formacji tak różnie dziś ocenianej. Dla mnie to była droga z Sybiru do Polski, wojsko złożone w większości z Polaków i walczących o Polskę, ale dla części społeczeństwa było to wojsko okupacyjne, firmujące zniewolenie kraju. Czy tego nie widziałem? Może i widziałem, tyle że z przekonaniem, iż inaczej być nie może. Przecież alianci, z którymi wiązaliśmy wszyscy nadzieje – zawiedli. Jałta, Poczdam świadczyły o tym. Życie potwierdziło ten wybór, komunizowanie kraju zdawało się koniecznością. W tych ramach trzeba było żyć, walczyć o możliwie duże pole manewru.

Widziałem wiele, rozumiałem jednak mało, dziś trudno to zrozumieć. Oczywiście na moich wyborach musiała zaważyć pozycja życiowa. Lata 1945-46. Jestem oficerem, szybko awansującym – a to zastępcą dowódcy szkoły oficerów oświatowych (czytaj – politycznych), a to dowódcą baterii, inspektorem Armii, zastępcą komendanta Warszawy. Jeszcze w mundurze, jako major, pomagam organizować Ministerstwo Spraw Zagranicznych, jestem wice, a później dyrektorem departamentu prasy i informacji. Należę do partii. Przyjmują mnie jeszcze wtedy, gdy powstaje, na początku. Pułkownik Korneluk (ponury sowiecki typ) żąda, bym zadeklarował miłość do Stalina. Nie chcę, robię awanturę, wracam na front, potem przez całą noc rozmawiam z ważnym działaczem Romanem Zambrowskim. Przekonuje mnie, że mogę być Polsce potrzebny, więc przy grobie mego tragicznie zmarłego przyjaciela, pięknego człowieka, poety Lucjana Szenwalda, decyduję się wstąpić do PPR. Trochę tak jak do klasztoru. Otrzeźwienie przychodzi później, ale jak się okazało, wystąpić z partii nie było łatwo. W MSZ dostaję naganę za... antysemityzm (nie chcę się zgodzić na wysłanie pewnej pani do Londynu, na attaché kulturalnego. Żydówka, źle mówiąca po polsku...). Prowadzę konferencje prasowe. Przewodzę pytania, odpowiedzi szukam, telefonując do odpowiedniego ministra albo wicepremiera. Źródła z pierwszej ręki. Po jednej z konferencji obejmuje mnie serdecznie starszy pan, korespondent „Timesa”, polski Żyd Cang. Pięknie pan mówił, pięknie! A chce pan wiedzieć, jak to jest naprawdę? Chciałem... Poszliśmy do Łazienek. To był szok. Nie zostałem stworzony do kłamstw. Mój światopogląd załamał się, jednak wycofać się nie było łatwo, ani z partii, ani tym bardziej z MSZ.

W ministerstwie zajmowałem się wymianą kulturalną, to mnie zresztą naprawdę interesowało. Moimi kontrahentami byli w Ministerstwie Oświaty p. Zanna Kormanowa, a w Ministerstwie Kultury historyk sztuki doc.

dr Julian Starzyński. Kormanowa była szlachetnym, naiwnym człowiekiem, do końca życia nie miała odwagi zrewidować swoich poglądów. Nie mam na to siły, płakała i... przygotowywała kolejne hasła do encyklopedii partyjnych działaczy. Starzyński był znacznie od niej ciekawszy, uroczy, błyskotliwy, inteligentny i mądry, o czym wkrótce mogłem się przekonać. Łączyła nas praca – dla niego było to kontynuacją tego, co robił przed wojną jako dyrektor Instytutu Propagandy Sztuki. Dla mnie kontakty z ludźmi, których podziwiałem, załóżki przyjaźni. Sztompka, Szpinalski, Kenar. Starzyński, w wieku mojego ojca, wzbudzał mój szacunek. Rozumieliśmy się bez słów. Był ostrożnie lewicujący, jak znaczna część znanych mi przed wojną ludzi. Ale koniec roku 48 to już była zapowiedź socrealizmu – jeździłem z Sokorskim do Nieborowa, dawałem mu jakieś broszury, kretyńskie, a on na ich podstawie przygotowywał wystąpienia na zjazdach muzyków, filmowców. Sokorski w pewnym momencie przed swymi dyrektorami postawił sprawę jasno – albo partia, albo pożegnanie z pracą. Zaczęli do mnie przychodzić, radzić się – Wanda Załuska, Bogdan Urbanowicz, no i Starzyński. Pokusa dyrektorowania była duża, tym bardziej że rezygnując, oddawało się plac ludziom zdolnym zniszczyć to, co tak ciekawie się rozwijało. Łamali się, ale w końcu Załuska i Urbanowicz odmówili wstąpienia do partii. Zostali zwolnieni z miejsca. Starzyński przedłożył rolę sprawy nad osobiste ambicje. Wstąpił. Został.

Ale w Uniwersytecie nie chciano go przyjąć do partii. Rzeczywiście, w niczym nie przypominał robotniczego działacza. Był sympatyczny, wręcz czarujący, inteligent z dobrej rodziny. Obowiązki partyjne spełniał np. mówiąc „towarzyszu” do swojego kierowcy w czasie zebrania partyjnego, ale gdy się kończyło, od razu przechodził na formy właściwe: „panie Stolarski, proszę na mnie czekać...”. Miał jeszcze jedną cechę diametralnie go różniącą od partyjnych towarzyszy – szanował ludzi. Największą jego sympatią cieszyła się woźna, pani Franja. Zawsze się uśmiechał, kiedy do niej mówił.

Sokorski bardzo chciał, by w Instytucie powstała komórka partyjna, kilka osób, które przyjmą Starzyńskiego do partii. Nie było to łatwe, zapisało się do partii tylko kilku pracowników administracji, z grona naukowego należeli ideowo bliscy. Irena Schillerowa, poważna, szlachetna i naiwna, a z historyków sztuki piękni ludzie – Mieczysław Porębski i Andrzej Jakimowicz. W filmie – Jerzy Toeplitz. Mieliśmy egzekutywę, która starała się pełnić funkcję związku zawodowego. Pomagał. Jako „partia” byliśmy niegroźni.

Starzyński „wzmocniony ideowo” należał do grona kilku ludzi, którzy planowali odrodzenie nauki po wojnie. Działał w ścisłym związku z prof. Kępińskim w Poznaniu, przede wszystkim z dyrektorem Muzeum Narodowego prof. Lorentzem, który podporządkował sobie muzelnictwo, ratując także zabytki z upaństwowianych dworów. W koncepcji Starzyńskiego ja miałem być, na-

zwijmy to tak, taranem partyjnym. Miałem, dzięki wojsku i MSZ, dobrą pozycję i mogłem być przydatny w projektowanym instytucie. W resorcie kultury mój głos się liczył, może po części i dlatego, że z MSZ wyszedłem jako ktoś związany z jego faktycznym ministrem, wicepremierem Jakubem Bermanem, numerem 2 w hierarchii partyjno-rządowej. Istniały pogłoski, że jestem jego kuzynem, czy też siostrzeńcem. Być może przyczyniły się one do tego, że w resorcie Sokorskiego miałem specjalną pozycję, niejako nadwornego błazna, takiego Stańczyka, który bezczelnie krytykował ministra, a ten na to pozwalał, ale tylko jemu. Sokorski mnie lubił, znał z wojska. Kiedy zakochał się w Halinie S., chciał by przysłała do 1. Dywizji. Zaproponowano mu wymianę – Jackowski przejdzie do Brygady Artylerii, a Halina do sztabu 1. Armii, do niego. Miłość to wielka sprawa. Zgodziłem się i może to także sprawiło, że mnie polubił. Starzyński liczył na moją pomoc w sprawach instytutu. Dodam, że bardzo ważne okazało się pozyskanie na wicedyrektora Andrzeja Ryszkiewicza. To był prawdziwy naukowiec, ja natomiast, obejmując stanowisko wicedyrektora, miałem na swoje usprawiedliwienie tylko dobre chęci, jako że nie miałem wtedy magisterium.

O koncepcji Instytutu mówiliśmy dużo, miała się mieścić w ramach resortu kultury. Był to czas, gdy resort ten miał swoją wagę i duże możliwości finansowe. Miał to być odpowiednik Akademii Nauk, a więc akademii sztuki łącząca badanie sztuki w kilku zakresach – plastyki, teatru, filmu, muzyki, twórczości ludowej. Działy te powinny się były w przyszłości przekształcić w instytuty. Zadania, jakie postawił swym pracownikom Starzyński, były ponad ich ówczesne możliwości, trudno było przecież zacząć od wielkich syntez, a dopiero później rozwijać badania szczegółowe. (Wzorem radzieckim specjaliści winni byli zbiorowym wysiłkiem tworzyć kanony wiedzy, współdziałać ze sobą na etapie planowania, opracowywania konspektów. W rzeczywistości bliskie kontakty poszczególnych placówek zapewniała przede wszystkim kawiarenka, bufet działający na 2. piętrze, obok mojego Zakładu Sztuki, którą różnie nazywano: ludową, nieprofesjonalną, naiwną. Likwidacja bufetu przerwała jednak możliwości kontaktów przy kawie.) Było to niezgodne z logiką działania, ale zgodne z sytuacją. Trzeba było, robiąc swoje, zadbać o pozory, naśladować wzory radzieckie. Taka była cena. Starzyński wpadł na pomysł doskonały – powołał do życia pismo „Materiały do Studiów i Dyskusji...” wypełnione artykułami, a także tłumaczeniami z rosyjskiego. Nikt tego nie czytał, chyba nawet redaktorzy, ale to była marksistowska wizytówka. Kiedy umarł Stalin i napór socrealizmu zmalał, „Materiały...” zmieniły się całkowicie. Z dnia na dzień wróciła historia sztuki, zaczęto pisać o sztuce współczesnej, o modernizmie.

Starzyński wygrał. Jego rola w kształtowaniu instytutu była nieoceniona. Zadbał nawet o to, by prawnie zapewnić prawa do budynków, co okazało się po la-



tach nadzwyczaj ważne, pozwoliło na wynajem powierzchni biurowej innym instytucjom. Tego nie uczynili dyrektorzy pozostałych instytutów w PAN-ie. Może mój dyrektor przewidział, że ustrój najlepszy na świecie wkrótce upadnie?

Dla mnie Instytut stał się drugim domem. Nim żyłem. Po latach burzliwych i wciąż przynoszących nowe wyzwania stałem się normalnym człowiekiem. Ograniczyłem swe działania, zajęty pismem i problematyką sztuki marginalnej, czy jak ją inaczej nazwać. Już kiedy pisałem pracę magisterską, zainteresował mnie fenomen sztuki ludowej. Ukształtowany za młodu w podziwie dla arcydzieł musiałem znaleźć kryteria oceny tego, co stworzył tak zwany lud, co robią amatorzy, naiwni, artyści kręgu Art Brut, sztuki psychodelicznej. Nauczyłem się szanować rolę, jaką wypowiedź twórcza odgrywa, niezależnie od tego, na jakim jest poziomie artystycznym. Każda jest ważna, o ile pomaga żyć. Oceniając, jako juror, prace nieprofesjonalne, mogłem być głuchy na takie czynniki jak wiek, środowisko, zdrowie. Klękałem w podziwie przed obrazami niewidomej kobiety, dla której malowanie stało się źródłem radości, było życiową kompensacją. Ale nie będę jej malarstwa porównywał z pracami z kręgu Art Brut, ani tym bardziej ze sztuką ludową. Wąlor artystyczny, którym oceniam prace wybitnych artystów, w tych przypadkach tylko w części jest ważny. Może tkwi w czymś zupełnie innym. Moje ukochanie to Vermeer, Velasquez, Rembrandt, ale też Renoir, Panek, Gielniak, ich dzieła jakoś mnie budują. Dają poczucie szczęścia, lecz pisząc te słowa, na pewno prawdziwe, zauważam, że to poczucie szczęścia daje mi też Frasobliwy z Rabki, widok starych kobiet z Biłgoraja w dawnych strojach, a więc też to, co zostało poczęte zbiorowym wysiłkiem, przez sieć eliminacji, przez doskonałość prostoty. Tym właśnie jest sztuka ludowa, sztuka środowiska, ukształtowana w drodze eliminacji wiodącej do doskonałości. Ale także zachwyca dzieło wtedy, gdy nie ciąży na nim kultura, gdy wyrasta z osobliwości – jak u Zagajewskiego, czy Nikifora.

Instytut Sztuki dał mi możliwość poznania setek ludzi, zbliżenia się w pokorze do tych najciekawszych. To ukształtowało moje życie. To zawdzięczam Instytutowi.

STANISŁAW MOSSAKOWSKI

## Glossa do Jackowskiego (głos z sali)

Pozwólcie Państwo, że powiem parę słów, ponieważ Jacek wspomniał tę swoją partyjność. Nie chciałem o tym mówić, bo nie wiedziałem czy to będzie wspomniane, ale teraz chcę powiedzieć o tym. Zostałem przyjęty do Instytutu, byłem przed habilitacją, po doktoracie, otrzymałem wspaniałe mieszkanie – to był pokój z kuchnią i łazienką, prawie takie chateau de la Loire... po tym, co mieliśmy w Krakowie. Zjawił się u mnie Pan Jackowski z ramienia partii i powiedział: proszę Pana, czy Pan by nie wstąpił do partii? Byliśmy we dwóch, w cztery oczy, dwie osoby w dziale sztuki na parterze Instytutu. Powiedziałem: wie Pan, moją rodzinę wymordowali bolszewicy i gdybym wstąpił, to musiałbym sobie w gębę napluć! Powiedziałem to pierwszemu sekretarzowi. Gdy był taki moment, że chciano mnie wyrzucić z Instytutu, właśnie dzięki Jackowskiemu zostałem uratowany, a potem po latach wypiliśmy bruderszaft i on mi mówi wtedy: wiesz, tyś mi tak odpowiedział, że pomyślałem sobie, że to musi być porządny człowiek. Więc to była taka partyjność kolegi Jackowskiego. Dziękuję Ci za to.



Podczas uroczystości przemawia prof. Stanisław Mossakowski wieloletni dyrektor Instytutu Sztuki PAN. W tle od lewej: prof. Andrzej Bieńkowski (ASP), po prawej poprzodni dyrektor Instytutu Sztuki PAN, prof. Lech Sokół.